

Scholz w Pradze, Macron w Paryżu – czyli dwa Jowisze Europy. Część 1

9/2022 Albert Świdziński

Istnieje przysłowie, że żeby rozśmieszyć Boga, należy Mu opowiedzieć o swoich planach. W poniedziałek kanclerz Niemiec Olaf Scholz z właściwym sobie rozmachem postanowił jednak opowiedzieć o swoich planach nie tylko Panu Bogu, ale również wszystkim tym, którzy zasiedli w auli głównej Uniwersytetu Karola w Pradze, aby wysłuchać przemówienia kanclerza.

Zanim autor „Weekly Brief” przejdzie do omówienia tegoż przemówienia, warto powiedzieć parę słów o okolicznościach towarzyszących wizycie Scholza w Czechach. Otóż wystąpienia niemieckiego przywódcy – z „przyczyn technicznych” – nie wysłuchał premier Czech Petr Fiala. Ponadto (co ciekawe, na prośbę strony niemieckiej) odwołana została również sesja pytań studentów, z obawy o możliwe niewygodne pytania, których Scholz, zwolennik przecież (co podkreślał w przemówieniu) pluralizmu i otwartego dyskursu, najwyraźniej sobie nie życzył. Te niepowodzenia nie wpłynęły jednak na Olafa Scholza deprymująco i w Pradze wygłosił on przemówienie mogące się równać nie tylko z ambitniejszymi wystąpieniami Emmanuela Macrona, ale nawet z tymi wygłaszanymi przez słynnych poprzedników kanclerza Niemiec. Swoją mowę Olaf Scholz rozpoczął od zwyczajowego samobiczowania, podkreślając, że spośród wielu czarnych rozdziałów europejskiej historii najczarniejszy napisali Niemcy, kiedy to „pod okupacją narodowych socjalistów” zamknięty został uniwersytet w Pradze. Po rytualnym potępieniu niemieckiego imperializmu i prób zdominowania Europy za pomocą środków, że tak to ujmemy, kinetycznych, Scholz bez zająknięcia wyłożył zgromadzonym na Uniwersytecie Karola słuchaczom, że, najkrócej mówiąc, *Ordnung muss sein*, a Niemcy z chęcią ten *Ordnung* pomogą wprowadzić – ba, podejmą się nawet przewodzenia tej misji. A najlepszym sposobem, aby *Ordnung* w Europie zapanował na powrót, będzie wzięcie za twarz co bardziej krnąbrnych członków wspólnoty – w tym tych państw, które na przykład mają problemy z praworządnością, i skończenie z jednomyślnością – a Niemcy bohaterstwo wezmą ten ciężar na barki.

Podobnie bez zająknięcia mówił Scholz również o pełnej i niepodlegającej najmniejszym wątpliwościom determinacji Niemiec we wspieraniu Ukrainy, Niemcy bowiem „nie będą przyglądać się bezczynnie śmierci mężczyzn, kobiet i dzieci”, i zamierzają wspierać Kijów „tak długo, jak będzie to konieczne” – to dobrze, bo przy obecnym wolumenie wsparcia płynącego z Berlina będzie ono potrzebne bardzo długo. Kanclerz zapewnił również, że Niemcy w podobny sposób zaangażują się w odbudowę kraju, co będzie „ogromnym przedsięwzięciem, które będzie zadaniem dla pokoleń”. Ale i w tym zadaniu *Ordnung muss sein* – a więc potrzebne będzie lepsze planowanie i koordynacja i właśnie dlatego Niemcy i Holandia wystąpiły z inicjatywą mającą na celu „długoterminowy podział obowiązków” wszystkich wspierających Ukrainę. Ktoś złośliwy mógłby zauważyć, że sytuacja, w której Niemcy i Holandia decydują o podziale pracy „wszystkich” pomagających Ukrainie, nie jest konceptem

przesadnie inkluzywnym, ale autor „Weekly Brief” złośliwy nie jest i nic podobnego mówić nie zamierza.

Innym szeroko komentowanym elementem wystąpienia Scholza była jego zapowiedź zgody na dołączenie do Unii Europejskiej kolejnych państw – Ukrainy, Mołdawii, Gruzji czy sześciu państw bałkańskich. Scholz jest jednak zdania, że nawet gdyby doszło do akcesji kolejnych kilku państw, w obliczu braku reform Unia w jej obecnym kształcie nie będzie w stanie skutecznie bronić swoich (docieklivość kazałaby zapytać: „swoich, czyli czyich?”) interesów – szczególnie że Stany Zjednoczone, choć pod przywództwem „zaprzysięgłego” obrońcy relacji transatlantyckich Joe Bidena, „będą nieuchronnie coraz częściej spoglądać ku Pacyfikowi, skupiając się na rywalizacji z Chinami”. I choć Scholz uroni z pewnością z tego powodu łzę – podobnie, jak na wspomnienie podłych planów Adolfa Hitlera – to trzeba z tym żyć i nadać Unii formę jeszcze bardziej sfederalizowaną. Na szczęście, mówi Scholz, „doświadczenie ostatnich miesięcy uczy nas, że europejskie zasady – a nawet traktaty – można zmienić – nawet natychmiast, jeżeli zajdzie taka potrzeba”. I, kontynuuje Scholz, wydaje się „zupełnie naturalne, że to Niemcy muszą przedstawić propozycje do tego zmierzające” – i stąd właśnie jego przemówienie, które jednak „ma być pożywką do rozważań, a nie gotowym, niemieckim rozwiązaniem. Zakładamy, że w pierwszym odruchu Scholz chciał powiedzieć *„das war ein Befehl”* – ale w porę się powstrzymał.

Bo Scholz otwarcie – i szczerze tę należy docenić – przyznał, że bez zdolności wydawania rozkazów plan uczynienia z Europy suwerennego, geopolitycznego mocarstwa nie może się powieść. I tu wracamy do początku – Scholz uważa, że niezbędna jest reforma Rady Europejskiej, „ponieważ obecnie konieczna jest jednomyślność, a to stwarza ryzyko, że pojedynczy kraj może użyć prawa weta i uniemożliwić wszystkim innym pójście naprzód” – a po poszerzeniu Unii sytuacja będzie tylko trudniejsza. „Kto uważa inaczej, tkwi w zaprzeczeniu”. Dlatego też Scholz proponuje stopniowe (miło, że nie proponuje dokonania tych zmian poprzez Blitzkrieg) zmienianie procedury głosowania na większościową w takich aspektach, jak polityka zagraniczna czy podatkowa, choć wie, że „będzie to miało konsekwencje również dla Berlina”. Ale Niemcy są najwyraźniej gotowi na to poświęcenie, podobnie jak gotowy był Lord Farquaad, który powiedział do swych poddanych, że „zapewne wielu z was zginie, ale to jest poświęcenie, na które jestem gotów”. W innym wypadku, mówi Scholz, „dojdzie do powstania dżungli grup, zasad i skomplikowanych wyłączeń (...) stanowiącej zachętę dla tych wszystkich, którzy nie sprzyjają zjednoczonej, geopolitycznej Europie. A tego nie chcę!”. Co godne odnotowania, wydaje się, że Scholz zasygnalizował, że nie wyobraża sobie poszerzenia UE o kolejne państwa bez wprowadzenia sugerowanych w przemówieniu zmian w unijnym procesie decyzyjnym. Na szczęście kanclerz Scholz wie, że jego poparcie dla głosowania większościowego „jest niekiedy krytykowane”. „Rozumiem obawy niektórych mniejszych państw” – mówi Scholz. I dlatego dodaje: „Szukajmy kompromisów razem”, a nawet sam jeden taki (wspólnie znaleziony?) kompromis proponuje, mówiąc, że „może sobie wyobrazić, że zaczniemy od głosowań większościowych w sprawach najważniejszych, takich jak polityka sankcyjna czy kwestie praw człowieka” – a jeżeli coś komuś nie będzie się podobać, to życzy sobie, aby „odnaleźć w sobie odwagę, aby kreatywnie wstrzymać się od głosu”.

Jednocześnie, wczytując się w treść poniedziałkowego przemówienia, trudno nie dojść do wniosku, iż Scholz uważa, że pewne rzeczy państwom członkowskim podobać się po prostu muszą. UE jest bowiem jego zdaniem „wspólnotą wyznawanych wartości” – i gdy wartości te nie są przestrzegane, powstaje ryzyko dla całej organizacji. I dlatego właśnie kanclerz Scholz jest zaniepokojony, gdy „w sercu Europy zaczyna się mówić o demokracji neoliberalnej”; warto dodać, że z jakiegoś powodu Scholz uznaje, że

demokracja musi być liberalna, bo „demokracja nieliberalna jest sprzecznością pojęciową”. I dlatego „nie może być akceptacji, gdy naruszane są zasady państwa prawa, a nadzór demokratyczny jest rozmontowywany” – i dlatego Scholz „w pełni wspiera KE w jej pracach dotyczących przestrzegania państwa prawa”. A skoro tak, i skoro „większość społeczeństw na Węgrzech i w Polsce chce, aby UE robiła więcej w obronie demokracji i wolności w ich krajach, w tym w ramach procedury z artykułu 7”, to jest to – triumfalnie dowodzi kanclerz Niemiec – kolejny argument za koniecznością odejścia od procedury jednomyślności. Ma rację Scholz – może się okazać, że bez tych niezbędnych kroków w Generalnej Guberni nigdy nie zapanuje spokój potrzebny do utworzenia harmonijnej i spójnej Europy, zjednoczonej wokół – oczywiście większościowo ustalonych – wspólnych wartości i celów.

Trzeba przyznać, iż propozycje kanclerza Scholza, będące w gruncie rzeczy ucieczką do przodu i próbą odzyskania przez Niemcy inicjatywy, są w pełni zrozumiałe w obliczu chwiejącego się przywództwa politycznego Berlina nad projektem Unii Europejskiej. Do jego zachwiania doszło przede wszystkim w wyniku unaocznienia stopnia powiązania niemieckiego dobrobytu z energią płynącą z Rosji – i czasowego przynajmniej wymuszenia od tej energii odcięcia. Ta symbiotyczna relacja nie była z kolei, jak chcieliby myśleć niektórzy, rezultatem dziecięcej naiwności Berlina, objawiającej się wiarą, że Rosję uda się „zmienić” przez kontakty handlowe, ale raczej zimnej kalkulacji – co otwartym tekstem przyznała zresztą kilka miesięcy temu Angela Merkel. Opierającej się na przekonaniu, że dostęp do rosyjskiej taniej energii, w połączeniu z coraz bardziej agresywną polityką klimatyczną forsowaną w UE, umożliwi utrzymanie niemieckiemu przemysłowi dominującej pozycji, przy jednoczesnym prewencyjnym powstrzymaniu powstania ewentualnej konkurencji wewnątrz UE. Cała ta kalkulacja zachwiała się w momencie, gdy Kreml uznał, że lewar energetyczny (o jego potęgę właśnie się przekonujemy, codziennie słysząc o widmie racjonowania gazu w Niemczech i ryzyku zapaści gospodarczej w związku z eksplodującymi cenami energii) jest na tyle silny, że umożliwi mu rewizję porządku międzynarodowego siłą i gwałtownie. Runęła natomiast, gdy okazało się, że Kijów i cała Ukraina nie upadły w ciągu kilkudziesięciu godzin i mogą liczyć na poważne wsparcie Stanów Zjednoczonych – a tym samym niemożliwe będzie przejście do porządku dziennego nad agresją Rosji i powrót do *business as usual*. Nawiasem mówiąc, jest to lekcja o trudności nawiązywania długoterminowej współpracy pomiędzy państwami status quo, do jakich należą Niemcy, a rewizjonistycznymi – które reprezentuje Rosja.

Zdaniem autora nie jest (największym przynajmniej) problemem to, że pod płaszczykiem wartości i moralności Niemcy prowadziły chłodną i skalkulowaną politykę pozwalającą im na utrzymanie dominującej roli własnego przemysłu, napędzanego energią z Rosji i eksportującego do Chin (gdyby Niemcy faktycznie wyznawali głoszone przez siebie wartości, byłoby to niemożliwe, bo jakże napędzać własną gospodarkę energią z autorytarnej Rosji, w której regularnie mordowani są dysydenci, aby potem sprzedawać jej owoce do Chin, które bez wahania tłumią siłą prodemokratyczne ruchy w Hongkongu czy inwigilują Ujgurów *en masse*). Problemem jest to, że polityka ta okazała się nieskuteczna, a Niemcy okazały słabość i zmuszone do potępienia Rosji nie tylko słowem, ale i czynem, straciły inicjatywę. To z kolei spowodowało powstanie w Europie dwóch dynamik; upodmiotowienie państw Europy Środkowo-Wschodniej z jednej strony, a z drugiej wyzwolenie długo tłumionej (przez niemiecką siłę) wściekłości państw południa kontynentu, które Niemcy bezwzględnie sprowadziły do parteru podczas kryzysu finansowego strefy euro sprzed dekady. Przejęcie kontroli nad procesem rozszerzenia UE, warunkowane zgodą państw członkowskich na odejście od mechanizmu jednomyślności ma umożliwić Berlinowi powtórne przejście inicjatywy i zneutralizowanie rosnących ambicji wschodnich członków UE. Innym ciekawym wnioskiem płynącym ze słów Scholza, który mówi

przecież o wciągnięciu w strefę wpływów Europy państwa ukraińskiego – tradycyjnie rosyjskiego bufora geograficznego, może być konstatacja, że nie można wykluczyć, iż dostrzeże on nieuchronność rozpadu pielęgnowanej już przez kanclerza Bismarcka dwubiegunowej współpracy na linii Berlin–Moskwa, co skutkować będzie zmianą natury tej relacji na rywalizacyjną – ale nie zamierza doprowadzić do utraty nadzoru kierowniczego nad Europą Wschodnią. We współpracy czy w kontrze do Rosji – Berlin zamierza utrzymać rolę kierownika politycznego Unii Europejskiej.

Problemem w przemówieniu Scholza jest to, że powiedział o celach Niemiec tekstem równie otwartym, co Angela Merkel, ale nie jako emeryt, ale sprawująca obowiązki głowa państwa, na dodatek w momencie, gdy w Europie – a już szczególnie w Europie Środkowo-Wschodniej – nikt o przywództwie Niemiec nie chce słyszeć. Natomiast jest to zachowanie pożądane z punktu widzenia Polski, bo Scholz mówił, jak się wydaje, szczerze – a prawdą jest, że największą zaletą głupców jest właśnie ich szczerłość.

Konkludując, należy stwierdzić, że na naszych oczach doszło do bardzo interesującego zjawiska kosmologiczno-politycznego. Przyzwyczailiśmy się bowiem, że Jowisz ma swój księżyc – Europę, ale od roku 2022 Europa ma nie tylko swojego Jowisza, ale aż dwóch; do prezydenta Francji Emmanuela Macrona dołączył bowiem kanclerz Niemiec Olaf Scholz. Oto już trzy dni po mowie Scholza, w czwartek 1 września, doczekaliśmy się riposty ze strony prezydenta Francji Emmanuela Macrona – jednak o tym napiszemy w drugiej części eseju.

Autor Albert Świdziński

Data 09/ 2022 Background Check
Więcej na: strategyandfuture.org